Nr. 2. We Lwowie dnia 9. stycznia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NIE BYŁO BYTU...*)

Nie było bytu, ani też niebytu...
nie było głębi powietrznego morza,
która wypełnia od szczytu do szczytu
bezmiar przestworza...
cóż się ruszało i pod czyją pieczą,
zanim nadany kształt był wszystkim rzeczom,
zanim przepaści stały się widzialne,
zanim turnice wystrzeliły skalne —
nieb sięgające opoki —,
nim ląd się oddzielił od wody?

O wiecznie świeży i młody,
wartki, jak rzeka,
a, jak ocean, głęboki
duchu człowieka,
ty, od początku do końca
mknący ku treści,
w której się koniec i początek mieści:
gdzież miało swoje ukrycie
to, co się kryje, ponure i senne?
W promieniach słońca,
w wiecznym kochanku, zakochane życie
gdzież miało blaski promienne?

Nim się początek urodził z początku,
zanim się stało
to, co się stało; zanim w przemian wątku
łączyła byty łączność, dzieliła rozdzielność,
ni śmierć nie władła, ani nieśmiertelność...
Nad zmrokami nocy
dzień jeszcze nie miał rozświtowej mocy,
ani też białość dnia w swą brała moc
ta czarna noc:
ciemność jedynie
w ciemności legła głębinie,
próżni ogromy
w próżni przybytek miały niewidomy.

Nad wszystkiem i nad niczem było tylko Jedno,
wszystkiego i niczego niedosięgłe sedno,
spokój i tętno,
bezruch i ruch...

O duchu ludzki, wychowan w mądrości,
która z Jednego w twoje wnętrze spływa
i, niegasnąca, żywa,
dopóki pragniesz, w twojem wnętrzu gości
i niegasnące, żywe ryje piętno
na twoim bycie,
że zwiesz się: duch,
że zwiesz się: życie —
o duchu ludzki, zwrócony obliczem
ku onej treści,
w której się koniec i początek mieści,
ty wiesz, że Jedno w wszechpotężnej mocy
stało nad wszystkiem i niczem,
nad próżnią próżni i nad nocą nocy...
A może nie wiesz?!...

A ponad bezmiary
pustki i ciemni, nad bezgranicami
uczuło Jedno w bezmiarze
i w bezgranicach swojego istnienia
palącą miłość...

Byłoż istnieniem, czego duch człowieka,
nie umie pojąć, acz pełen jest wiary,
czystej, przejasnej, jak Gangesu rzeka,
wielka i święta,
pełna jest świetlnych opali,
kiedy jej wody spromienia
słońce południa? Opiłość
narkotycznego uczucia powali,
o Jedno, wszystkich przed tobą —
w pobożnym żarze
jako pokosy zbóż

*) Z motywów wedyckich.

wszyscy już leżą:
tylko się zlituj nad nami,
niewiadomości zdejm pęta,
niech Twoja moc niepojęta
będzie pojętą dla dusz.

I oną dobą,
która się stała porą pór, macierzą
i dnia i nocy i pełni i nowiu
i gwiazd i słońca i świtów i zórz,
w owem bezmiernem pustkowiu,
gdy Jednem miłość owładła,
na ciemnię jasność opadła:
nasienie nasion, wszechnasienie ducha,
zapładniający żar...
I ciemnia głucha
zmienia się w światłość i gwar...

Tak przyszła siła,
co byt z niebytem spoiła,
z łącznością rozdzielność,
ze śmiercią nieśmiertelność...

O duchu ludzki, urodzony z siły,
co nad krawędzią mogiły,
śród cmentarnego pola,
zmartwychwstające postawiła życie,
ty wiesz, że jest przedział w wszechbycie:
tutaj: przyroda, tam: siła i wola,
tutaj: spoczynek, tam dokąd: dążenie...

O duchu ludzki, nasienie
duchów, idących z zwróconem obliczem
ku onej treści,
w której się koniec i początek mieści,
ty wiesz, kto stanął nad wszystkiem i niczem,
ty wiesz, skąd wyszło stworzenie...
A może nie wiesz?!

On jeden
co ma w niebiosach swój Eden,
w słonecznej skąpany ulewie,
on w promienistym siedzący Edenie,
On wie sam jeden, kto wóz świata wdrożył;
On wie, skąd wszystko wzięło się stworzenie —
bądź On je stworzył bądź On go nie stworzył...
On wie sam jeden. — A może On nie wie?!

Jan Kasprowicz.

Mickiewicza przyjaciel.

W świetlanem gronie „Promienistych" i Filaretów jedna zwłaszcza postać górowała ponad wszystkiemi innemi, nie wyłączając samego nawet Mickiewicza — postać Tomasza Zana. Władca dusz młodzieży wileńskiej z epoki romantyzmu nie stracił uroku i dla dzisiejszego pokolenia. Pamięć jego otacza legendowa niemal aureola zasług, cierpień, cnót. To też dla nikogo nie może być obojętną wiadomość, podana przez „Tygodnik Illustrowany", o niespodzianem odnalezieniu obfitego materjału do życiorysu i charakterystyki męża, którego nikt chyba prześcignąć nie zdołał w szlachetności, poświęceniu, wielkości moralnej.

Wybrańcem losu, który tak doniosłego dla nas dokonał odkrycia, jest p. Marjan Gawalewicz, Lwowianin z pochodzenia, dzisiejszy kierownik działu literackiego w „Tygodniku Illustrowanym".

P. Gawalewicz w poszukiwaniach puścizny literackiej po Zanie dotarł do żyjącej po dziś dzień na Litwie wdowy po nieboszczyku Tomaszu, Brygidy ze Świętorzeckich Zanowej. Przezacna ta matrona od śmierci męża, to jest od 1856 r. uważa za główny cel życia gromadzenie i przechowywanie rękopisów, listów i innych pamiątek po mężu.

„W tym zbiorze — pisze p. Gawalewicz, który zamknął całą poetycką i naukową pracę i twórczość „arcy-promienistego" założyciela filaretów, mieści się najszczegółowszy jego dziennik z pobytu w Orenburgu, spisywany przez lat trzynaście, setki jego listów do przyjaciół młodości i kolegów uniwersyteckich; obfita korespondencja, prowadzona aż do śmierci z Marylą, z Malewskimi, z Suzinem, Chodźką i wielu innymi; ważniejsze dokumenta, dotyczące jego pobytu w Wilnie, ukończonych studjów i egzaminów na kandydata filozofji i magistra wydziału matematycznego, procesu filareckiego, wreszcie urzędowania w służbie rządowej; wszystkie poezje bądź to przepisane na czysto, bądź też w bruljonach; szkice i plany zamierzonych utworów, notaty do autobjografji, liczne rozprawy filozoficzne, historyczne i społeczne, dzieła naukowe, dotyczące geognozji i fizjografji, badania gór uralskich, Kirgizji i Baszkirji, ziemioznawcze studja, czynione za powrotem do kraju w kilku gubernjach litewskich, opisy naukowych wypraw w celu poszukiwania złota i djamentów na Uralu, wiercenia studzien artezyjskich w stepach, etc. etc. etc.

„Im głębiej wgrzebywałem się w te foljały i papierzyska, tem większy ogarniał mnie podziw nad wielostronnością tego niepospolitego umysłu, jego wiedzą i wykształceniem, a szczególniej nad stroną psychologiczną tej wyjątkowej jakiejś natury, czystej, jak kryształ, idealnie szlachetnej, gorejącej, jak znicz, jasnym, równym, świetnym płomieniem wiary w Boga, i chrześcijańskiej miłości dla całego świata. Zrozumiałem dopiero: jaki i dlaczego tak silny był ten wpływ, który od lat młodzieńczych wywierał Zan na swoje otoczenie, skąd szedł i na czem się opierał ów nieprze-

party urok najszlachetniejszego idealisty-romantyka, którego większym talentem poetyckim przerośli jego rówieśnicy, ale żaden nie zaćmił moralną wartością charakteru, podniosłością umysłu i gołębią dobrocią serca.

Ukazać go w tem właściwem świetle i nadać mu wyrazistszą fizjognomję z rysów, jakich dostarcza pośmiertna jego puścizna, będzie mozolnem, ale niezmiernie wdzięcznem zadaniem mojej przyszłej bjografji Tomasza Zana.

Dotąd oczom naszym przedstawiał się, jak cień nieuchwytny, żyjący tylko w tradycji, zarysowany w zamglonych konturach, znany z niedokładnych kilku dat bjograficznych, z kilku nie najlepszych wierszy, drukowanych przez przyjaciół, ze wspomnień Odyńca i Domejki, z garści listów do Mickiewicza, i z gołosłownych wzmianek o jego działalności pośród młodzieży wileńskiej między rokiem 1816, a 1824-tym. Dzisiaj będzie można odtworzyć tę postać w bardziej realnych kształtach, wymodelować ją plastyczniej z materjału, jaki się przechował w całości, dzięki pietyzmowi dla jego pamięci ze strony pozostałej wdowy".

PANIENKA.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Staśka stała obrócona plecami do okna; po twarzy jej przesuwały się cienie smutku i przygnębienia, każde słowo ciotki spadało na duszę jak kamień; oglądała się nieznacznie, czy aby która z koleżanek nie słyszy i drżała na myśl, że ciotka zechce może sama panią Łaszcz o łaskę dla niej prosić.

— Pójdę — rzekła — ale nie teraz jeszcze: oni tam wszyscy razem rozmawiają, śmieją się, mogę im przeszkodzić.

Wskazała głową na towarzystwo, siedzące przy stole.

Śliczna Mania królowała już w gronie znajomych, słuchała pedagogicznych komplementów panów profesorów i drażniła zalotnie swego głupiego kuzynka, który na dzisiejszą uroczystość zrobił sobie nowy frak i pierwsze ciasne lakierki; wąsów tylko akuratnych sporządzić nie mógł, skubał tedy czarny puszek i udawał wielce poważnego z szapoklakiem pod pachą.

Pani Łaszcz, elegancka dama w lila jedwabnej sukni, bardzo wymownie przedstawiała przełożonej, że na razie nie może zapłacić należnych dwustu rubli, gdyż musi całą wyprawkę sporządzić Manieczce, która wygląda jak zakonniczka w tym bronzowym mundurku, biedne dziecko! tak ją ta sukienka szpeci!

— Należność postaram się odesłać za parę miesięcy — powtarzała elegancka dama.

Przełożona, sztywna i spokojna jak mumja, oblicza w myśli, że na eleganckich matkach już tego roku straciła około trzech tysięcy rubli!

Pani Łaszcz daje wzrokiem znaki ślicznej Mani, radaby się wyrwać ztąd jaknajprędzej i zapomnieć o należności.

Dzieweczka zaśmiała się, raz jeszcze błysnęła ślicznemi oczętami i wybiegła z sali.

Mistrz ceremonji zbliżył się do eleganckiej mamy, powinszował świetnie wychowanej córeczki. On zawsze miał w zapasie uprzejme słówko dla ładnych dziewcząt z dobrego rodu.

Siostra Tekla upatrzyła nareszcie chwilę, kiedy przełożona została sama, zajęta zbieraniem pozostałych na stole papierów.

— Pójdę do tej dobrodziejki naszej, podziękuję raz jeszcze za ciebie, za wszystko...

Wzruszenie tamowało jej mowę, machinalnie sięgnęła drżącą ręką po różaniec u pasa.

Promieniejąca wdzięcznością, miała wciąż łzy w oczach.

— Pójdę. Bóg jej zapłaci w niebie... ja... ja tylko ręce ucałuję!

Stasia drgnęła od stóp do głowy! Raz jeszcze wobec całego zgromadzenia wywoła jej nędzę!

— Później, niech ciocia poczeka — błagała z przerażonemi oczyma.

Ale ciotka potrząsła białym kornetem.

— Niech ludzie wiedzą, jaka ona miłosierna! Niech ją świat ceni i czci za litość nad ubogą sierotą!

Poszła do stołu.

Staśka uciekła z sali; wpadła do pustej klasy, gdzie na zakurzonych ławkach leżały stosy kajetów, okładki książek, gąbka i kawałki kredy walały się na podłodze.

Stojąc przy drzwiach, wsłuchiwała się z bijącem sercem, czy ciotka nie pędzi za nią, żeby ją ztąd wywlec, żeby raz jeszcze, wobec „całego świata" do upokorzenia zmusić.

Gryzła wargi, w suchych oczach błyskał płomyk żalu i oburzenia.

Tyle lat karmiono ją upokorzeniem, a przyzwyczaić się do tego nie mogła. Będąc dzieckiem, czuła to lepiej, niż rozumiała: wstydziła się strasznie starych sukienek, grubych koszul, dziurawych bucików, wstydziła się nawet... ciotki Tekli!

Kiedy w dzień rekreacji ciotka przychodziła do niej na chwilę, zadyszana, serdeczna, żeby ją uścisnąć, świętym krzyżem przeżegnać, a rozczulona wydostawała z ogromnej kieszeni kawałek brudnego cukru, suche ciastko, mięso zawinięte w papier, Staśka chowała spiesznie

te „przysmaki", a następnie rzucała ukradkiem do skrzynki na korytarzu,. żeby się nikt nie domyślał, że te obrzydliwości ciotka jej przyniosła.

Wobec zamożnych koleżanek wstydziła się swej nędzy, sieroctwa, opuszczenia, wiedziała, że ją uczą i żywią z łaski, ale bała się, żeby nie dowiedziały się o tem koleżanki, a ciotka powtarzała jej to aż do znudzenia! Oh, jak się ona obawiała tych dni rekreacyjnych!

Dość zdolna, ale wątła, źle przygotowana, własnych książek nie miała prawie nigdy, douczała się z cudzych nad ranem, w łóżku, kiedy cała klasa spała spokojnie.

W pierwszym roku zapadała kilkakrotnie na zdrowiu, wtedy była mowa, żeby ją z pensji zabrać. Coby się z nią wówczas stało — niewiadomo; ale już wówczas pragnęła umrzeć, a w myślach widziała szereg mogiłek, w których spoczywają dzieci sieroty. Tam nikt już o ich nędzy nie wspomina!...

Ciotka Tekla bladła na samo przypuszczenie, że mogą ją z pensji usunąć! Modliła się na jej intencję, odprawiała nowenny, a za każdym razem wmawiała, że jest zdrowszą, może się uczyć i zawsze żegnała tąż samą apostrofą!

— Bój się Boga, nie choruj! Zginiesz raz na zawsze! Bóg wszechmocny szczęście ci zesłał, los wielki! Naukę wielką zdobyć możesz z łaski dobrych ludzi! P. przełożona święta, czcigodna pani! Módl się za nią rano i wieczór! A bądź dla wszystkich pokorną, uległą, cichutką, w kątku siedź sobie, żeby nikomu nie zawadzać! Pamiętaj, żeś uboga sierota, że ciebie tu z łaski trzymają!

Słowa te brzęczały jej w uszach we śnie i na jawie, krępowały swobodę, zatruwały każdą chwilę wolną od nauki. Unikała wspólnych zabaw, uczyła się fałszu i obłudy, a w najskrytszych tajnikach duszy ukrywała zazdrość i nienawiść!

Koleżanki przyzwyczaiły się widywać ją zawsze nad książką; nauczycielki chwaliły uległość i pilność, a ona płakała po kątach, gdy została sama, siedziała nieruchoma, milcząca, jakby wypoczywała po tym ciągłym nałamywaniu się do wymagań, zwyczajów, których częto nie rozumiała i nie odczuwała ich potrzeby.

Czasami tylko przy sposobności przymierzała kapelusze nauczycielek i przyglądała się w lustrze z pośpiechem, bojąc się, żeby jej kto przed lustrem nie zastał! Rzucała kapelusz na lada szelest i uciekała do klasy, unosząc w myślach obraz swój widziany w lustrze: smutne, czarne oczy, bladą twarzyczkę i bardzo zgrabną wysmukłą figurkę!

Z czasem przestała myśleć o śmierci, natomiast coraz dotkliwiej odczuwała wszelkie braki w ubraniu.

Jak dawniej uczyła się z cudzych książek pod kołdrą, tak potem, również o świcie zaszywała sobie buciki białą nitką, zamazując szew atramentem, cerowała ciasny stanik, naprawiała fartuszek ukradkiem, żeby nie wzbudzić litości koleżanek.

Mania Łaszcz podarowała jej swój mundurek, a uczyniła to bardzo serdecznie, całując w oczy, w szyję, w usta, przepraszała, jak za grzech śmiertelny!

Staśka nie mogła jej odmówić, ale i przyjąć nie mogła!

Sukienkę powieszono w szafie, w kącie, nie należała do nikogo.

Odtąd panienki zaprzyjaźniły się z sobą gwałtownie!

Ale przyjaźń Staśki nacechowaną była odcieniem urazy, niby obrażonej dumy.

Czuła to Mania, a chcąc wynagrodzić mimowolną krzywdę, zamęczała ją swoją czułością.

Odkryła przed nią wszystkie tajemnice pensjonarskiego serca.

Raz nawet, pod przysięgą, że jej nie zdradzi aż do grobu, przeczytała jej list Julka Kosaka, tego samego, który dziś męczył się piekielnie w ciasnych lakierkach.

Kuzynek pisał, że ją kocha szalenie, że ani myśli kończyć głupich nauk, a w Rydze pozostanie tylko dotąd, dokąd ona będzie na pensji, a gdy ona wróci do rodziców, on też osiądzie na wsi, a matka, która go ubóstwia, nie będzie się sprzeciwiała jego szczęściu.

Mania pokazała przytem fotografję bardzo ładnego młokosa, o arystokratycznych rysach, ze śladami wąsików, których fotograf nie zdołał uwydatnić.

Julek jest bardzo bogatym jedynakiem, ślicznie jeździł konno i już w trzeciej klasie zaczął robić długi.

Mania wiedziała, że idąc za niego, zrobi świetną partję i ze szczebiotliwością młodej sroczki roztaczała przed wsłuchaną przyjaciółką świetne obrazy swojej przyszłości.

Staśka słuchała całemi godzinami, powoli, prawie bezwiednie stawiała siebie w roli swej przyjaciółki: miała rodziców, dom, serdeczne otoczenie, dostatek, miała określone stanowisko w świecie, jako posażna panna na wydaniu.

Świat Mani był taki piękny, słoneczny, miał tyle uroku, poezji, tyle serdecznego ciepła, że biedna Stasia upajała się temi obrazami, wracała do nich w każdej wolnej chwili.

Przysuwała się do rozszczebiotanej Mani, a w myślach po raz setny zwiedzała każdy kąt zamożnego, wiejskiego domu, ogród, las, stajnię. Znała po imieniu starą szafarkę, niańkę staruszkę, dwie rezydentki, znała nawet wszystkie psy i obłaskawionego jelenia, który sam po schodach przychodził na ganek.

A gdy Mania zamilkła, Staśka długo jeszcze błądziła myślami po ciemnej lipowej alei, nie mogąc się rozstać z przyjemną rolą zamożnej panienki ze dworu

Budziła się w końcu z rozkosznych marzeń, wracała do książki. albo jak przez sen spoglądała na swoje bu*iki pozszywane białemi nićmi.

Czasami zdawało jej się, że to jest niemożliwe, żeby ona była tak bardzo ubogą, bez domu, bez rodziny, bez grosza przy duszy, podczas gdy tuż obok niej siedzi taka Mania, opływająca we wszystko, co tylko życie dać może.

Taki los wydawał jej się największą niesprawiedliwością, krzywdą, znęcaniem się nad bezbronnem sieroctwem.

Starała się nie myśleć o swojej doli, garnęła się do szczęśliwej Mani, a gdy ta pod wpływem dobrego natchnienia zaproponowała, że zabierze ją z sobą na lato, Stasia chwyciła się tej myśli jak zbawienia.

Mania układała codzień nowe plany spacerów, zabaw, wizyt, opowiadała o całem sąsiedztwie, o przypadających podczas lata imieninach, na których tańczą do rana, bawią się doskonale.

A Staśka, słuchając, bezwiednie prawie zespolała swoją dolę z jej życiem, zawczasu podzielała tryumfy i przyjemności, tęskniła już nawet do jej domu, do wykwintnego otoczenia, do tych ludzi, którzy nigdy biedy nie widzieli zblizka, żyją wygodnie, przyjemnie, są wykształceni, delikatni i bardzo dobrzy dla wszystkich!

Wakacje potrwają ze trzy miesiące, a potem...

Przymykała oczy i starała się nie myśleć o przyszłości.

Praca szła coraz oporniej, do nauki zaczynała uczuwać wstręt i zniechęcenie.

Bo i cóż jej da ta wychwalana nauka?

Ciężką pracę i tułactwo po obcych domach.

Dla ciotki Tekli nauczycielstwo było szczytem marzeń.

— Będziesz nauczycielką! — powtarzała z namaszczeniem i patrzała na nią swemi poczciwemi oczyma, które wyrażały cześć i zachwyt zarazem.

Ciotka szanowała już w niej przyszłą nauczycielkę, pracowitą, rozumną, pełną poświęcenia.

Staśka zaczynała już wierzyć w świętość tego powołania, rosła z tą myślą i zawczasu uczuwała strach przed tą pracą, do której ani zapału, ani nawet chęci nie miała.

W ostatnim roku zaczęła uczuwać znużenie na samą myśl o żmudnej pracy nauczycielskiej, przestała mówić o tem z ciotką, a coraz częściej marzyła o pobycie u Łaszczów.

Dom zamożny, sąsiedztwo liczne, kto wie, co ją tam spotkać może?...

Przypomniała sobie sceny z powieści, których bohaterkami były ubogie nauczycielki, inteligentne, dumne jak ona... z któremi żenili się bogaci obywatele ziemscy, albo przynajmniej jaki doktór niezmiernie szlachetny i rozumny odtrącił miłość bogatej dziedzicki, a żenił się z piękną a dumną nauczycielką.

Miała wszelkie warunki na bohaterkę, nawet jej blada twarzyczka i dość czarne oczy nadawały się do romantycznej powieści...

Byleby tylko Mania nie dostrzegła jej wyższości umysłowej, a następnie nie zazdrościła powodzenia.

Mogłoby to źle wpłynąć na ich przyjaźń i utrudnić jej pobyt u Łaszczów.

— Będę dla niej bardzo dobra i będę ją zawsze kochała, chociażby najświetniejszy los mnie spotkał — przyrzekała sobie w duszy.

Bcgactwo i urodzenie w życiu kobiety grają podrzędną rolę; stokroć więcej znaczy uroda, wychowanie i inteligencja.

Słyszała to nieraz od starej Francuski, która lubiła opowiadać o swem wielkiem powodzeniu za młodu.

Nadzieja dodawała jej otuchy.

(C. d. n.). *Ostoja.*

Świadomość narodowa u ludu.

(Ciąg dalszy).

Cyfry poniższe w rubrykach — jako formuła algebraiczna obserwacji autora — mają wartość względną tylko w określeniu wzajemnego stosunku sił jednego i tego samego zjawiska lub czynnika. Jeśli np. stopień świadomości narodowej u Rusinów oznaczyłem cyfrą 1, u Chorwatów 2, a u Czechów 3, to znaczy, że świadomość ta jest lub przejawia mi się u Rusinów najsłabiej, u Chorwatów silniej, u Czechów — jeszcze silniej — mniej lub więcej jak 3 : 2 : 1.

Przyczem zwracam uwagę i na to, że gdzie wyraźnie nie zaznaczono inaczej, tam przedmiot obserwacji danego czynnika lub zjawiska ma się rozumieć jako brany w epoce już zamkniętej i skonsolidowanej czasem lub uwarstwowieniem wśród innych czynników i zjawisk, (epoka pewnego uwarstwowienia czynnika nie zawsze przypada na jeden i ten sam czas u różnych ludów). Dla tego np. spółczesny ruch ludowy w Polsce, sztundyzm małoruski, radykalizm Serbski, nihilizm moskiewski, stosunek stronnictw w Bułgarji itp. — mogą ilustrować tylko obserwację, ale przedmiotem jej głównym nie są w pracy niniejszej, bo działanie ich jeszcze nie skończone.

Dla tego też i w dalszych rubrykach np. obecność lub brak stanu szlacheckiego lub mieszczańskiego zaznaczono nie w dzisiejszej epoce, lecz w tych, w których owa obecność lub brak stawały się rozstrzygającemi do wytworzenia zjawisk, poprzedzających ruch obecny.

Weźmijmy najpierw jedną grupę tych czynników — sfery moralnej.

Ludy		Kościół panujący	Siła napięcia antagonizmu przeciw sąsiadom	Stopień świadomości narod. ludu.
Polacy		Zachodn.	1	1
Rusini		Wschodni unicki k. i nieunicki	1	1
Moskale		Wschodn.	3	3
Plemię czesko-słow.	Czesi	Zachodn.	3	3
	Słowacy	Zachodn. (+ ewang.)	1	1
Łużyczanie		Ewang. (+ k zach.)	1	2
Słoweńcy		Zachodn.	1	2
Plemię serbo-chorw.	Serbowie	Wschodn.	3	3
	Chorwaci	Zachodn.	2	2
Bułgarzy		Wschodn.	3	3

Jeśli na chwilę nie weźmiemy Rusinów i Czechów w rachubę, to z powyższego szematu widzimy, że u ludów słow. kościoła wschodniego antagonizm religijno-narodowy i świadomość narodowa u ludu dosięgły stopnia najwyższego Dwa te ostatnie czynniki działają zgodnie W Bułgarji zarówno północnej jak południowej, są zastępy katolików miejscowej ludności, w znacznej mierze potomków dawniejszych Bogumiłów, ale dziś będących *plus catholiques que le Pape*.

Żyli oni zgodnie z Turkami za czasów władztwa Osmanów i w zamian otrzymywali opiekę ich nad sobą. Ale ani sami siebie, ani rodacy ich — wschodniego kościoła nie nazywali ich Bułgarami, jeno katolikami.

Z tego wcale wnioskować nie można, jakoby kościół Wschodni bardziej od Zachodniego pielęgnował idealną miłość ojczyzny, jak my ją dziś rozumiemy, aby był więcej narodowym ze względu na swą liturgję w języku jakoby ojczystym czy greckim lub żeby nie aspirował do zostania „powszechnym“. Co prawda, — Serbowie i zwłaszcza Bułgarowie nigdy nie mieli tak głębokiej wiary w „powszechność“ kościoła greckiego i prymat patryarchy carogrodzkiego jak Polacy, Chorwaci, Czesi etc. względnie do Rzymu i prymatu papieży, co stwierdza oderwanie się jednych, powstanie egzarchatu bułg. i dzisiejszy prąd separacyjny u drugich (Serbów i Czarnogórców). I to musi być poniekąd brane w rachubę. Ale ile razy ciż Bułgarowie zrywali z Rzymem. tylekroć szczerze lub nieszczerze, uważali tenże kościół Wchodni za powszechny w takiej mierze w jakiej za takowy istotnie mają Rzym Słowianie Zachodni z Chorwatami, Słowianami i Unitami ruskimi. Język zaś staro-cerkiewny (nawet tam gdzie go nie zastępowano greckim), jeśli jako liturgiczny był zrozumialszym od łacińskiego, to będąc jednocześnie językiem nabożeństwa dodatkowego, jako martwy wnosił swe formy skamieniałe i archaiczność w życie codzienne, i przeto zastąpić nie mógł żywego działania żywej, spółczesnej mowy ojczystej w takiem dodatkowem nabożeństwie u Słowian i katolików rzymskich.

Ale środki działania duchowieństwa i stosunek jego do ludu inne. Przedewszystkiem — duchowieństwo wschodnie — jak się rzekło — miało tak potężną broń w ręku, jak antagonizm religijny i szczepowy wobec władzców i sąsiadów, którego nie omieszkało w całej pełni wyzyskać, rozżarzając go i podsycając ustawicznie, zarówno stanowiskiem obcych antagonistów, jak większą ekskluzywnością własnego kościoła — aż do stopnia dziedzicznej nienawiści. Nie zbyt to wprawdzie idealne uczucie, ale dopasowywało się nieźle do ich ziemskiego pojmowania miłości ojczyzny. W Moskwie wskutek niezawisłości hierarchji od patrjarchatu ekumenicznego i zamknięcia ekskluzywności kościelnej w granicach caratu — pojęcia prawosławny i Moskal stały się synonimami. W Bułgarji i Serbji coś podobnego nastąpiło dzięki polityce fanariotów, którzy nacjonalizmem greckim i symonją forytując tylko żywioł grecki w najwyższej hierarchji, upośledzali niższy kler, złożony z Serbów i Bułgarów, aż do wyrobienia w nim wstrętu dziedzicznego do kościoła powszechnego. Taki pop bułgarski lub serbski przez biskupów i władyków greckich zniewalany często do posług koniucha w stajni swego dostojnika, był najbliższym towarzyszem niedoli chłopa: jednako z nim był upośledzony przez Greków i Turków, jednakim wobec nich związany był stosunkiem; za mało wykształcony, aby trawić czas własny i swojej owczarni na subtelności teologiczne lub ideały religijne, był wszakże jedynym reprezentantem inteligencji,

który skierowywał uwagę i uczucie chłopa na najwyższe dobro doczesne — ojczyznę. Uprawiając ziemię tak samo, jak tamten własnemi rękoma i będąc najbliższym jego powiernikiem, stawał się dla chłopa często apostołem wolności narodowej, a zawsze jedynym żyjącym łącznikiem teraźniejszości z tradycją przeszłości.

Opryszki i zbójniki tatrzańskie przedtem porywali księży do odprawienia mszy lub poświęcenia kościółka wzniesionego w debrach górzystych rękoma zbójnickiemi, na intencję powodzenia wyprawy zbójników na Węgrów; hajducy bałkańscy niepotrzebowali gwałtem wymuszać takiej sankcji kościoła dla przedsięwzięć swoich od popów własnych, bo ci wszędzie i zawsze albo – nie byli przeciwnikami hajduckimi, albo wprost im folgowali, skoro widzieli w nich mścicieli krzywd narodowych, a hajductwo obejmowało kraj cały. Biada było popowi, który zdradził hajduka, ścigano go jak czorbadżego do drugiego pokolenia i uważano gorzej, niż Turka lub Greka.

(C. d. n.). *Ew—an.*

Jubileusz.

We wszystkich dziennikach miasta Lechowa pojawiła się równocześnie następująca wiadomość:

„Henryk Bojarski od dni kilku bawi w naszem mieście. Wiadomo czytelnikom naszym, że czcigodny i utalentowany jubilat konsekwentnie protestował przeciw wszelkim projektom uczczenia jego dwudziestopięcioletniej literackiej działalności, tak świetnie na kartach piśmiennictwa naszego zapisanej. Dowiadujemy się teraz, iż dla swego rodzinnego miasta czyni wyjątek, co dowodzi, że mimo piętnastoletniej obecności nie zerwał węzłów łączących go ze ściślejszą ojczyzną, — która słusznie szczycić się nim może. W sobotę odbędzie się w teatrze pierwsze przedstawienie jego najnowszego dramatu: „Wykolejeni“ — a po niem uczta koleżeńska w sali kasyna miejskiego, na którą tutejsze Koło literackie sprosiło wszystkich przedstawicieli literacko-artystycznego świata wraz z śmietanką inteligencji miejscowej. — Radzimy, spieszcie zamawiać bilety, gdyż dochodzi nas wieść, iż znaczną część miejsc w teatrze już rozkupiono“.

Rada nie okazała się zbyteczną. — Przed odsłonięciem kurtyny sala teatralna zapełniła się tak szczelnie, że nietylko orkiestrę, lecz nawet wszelkie przejścia krzesłami zapełniono. Nawet w lożach pierwszego piętra nie było miejsc wolnych, choć do każdej wstawiono o jedno krzesło więcej, nad czem nie mało ubolewały miejscowe elegantki, ze względu na toalety więcej, niż ze względu na własne osoby. — Na ich wytłómaczenie dodać należy, że stroje tego wieczora nie małą wartość przedstawiały. Jeżeli miały one wyrażać stopień czci dla jubilata, to wnosićby trzeba, że wśród publiczności teatralnej znajdowały się same entuzjastyczne jego wielbicielki. — Jedwabie, aksamity, koronki, kwiaty, pióra i last not least — brylanty składały się na wspaniałą istotnie dekorację teatralnej sali, wśród której tu i ówdzie oko znawcy dopatrzyć mogło kształtną główkę, parę pięknych ognistych oczu, biust marmurowy lub kształtną i pieszczącą rączkę. — To też publiczność w czasie długich antraktów nie nudziła się bynajmniej. Lornetowano się niezmordowanie. Mężczyźni robili przegląd miejscowych piękności, kobiety poddawały toalety tak ścisłej obserwacji, jak gdyby im to było niezbędne do sporządzenia jakiegoś wykazu statystycznego. Zamieniano przytem spojrzenia, ukłony, uśmiechy, zajadano cukierki, zabawiano się stosowną do okoliczności konwersacją dotyczącą naturalnie obecnych kapeluszy i sukien, oraz prywatnych i towarzyskich stosunków ich właścicielek. Dla ścisłości zaznaczyć trzeba, że i osoba jubilata przez rozmawiających i lornetujących pomijaną nie bywała.

On sam siedział w jednej z lóż pierwszego piętra i jakgdyby nie widział spojrzeń, które się ku niemu kierowały lub jakgdyby mu one były zupełnie obojętne, spoglądał na widzów z twarzą zmęczoną, czy zamyśloną. Czasami na ustach jego pojawiał się jakiś zagadkowy uśmiech, uśmiech bardzo smutny, do nerwowego drgnięcia ust podobny.

Powierzchowność Bojarskiego nie była piękna, ale bardzo charakterystyczna.

Wiek jego trudno byłoby oznaczyć; mógł mieć trochę więcej, niż 40 lat — trochę mniej niż 60 lat, najprawdopodobniej był 50-letnim mężczyzną, o przedwcześnie pomarszczonej i zwiędłej cerze, a oczach znacznie od niego samego młodszych.

Ciemne włosy, bardzo lekko siwizną przyprószone, ocieniały szerokie, wypukłe, mądre czoło. Czoło to było dziwnie piękne; robiło ono wrażenie poważnej księgi, tajemniczem pismem zapisanej. Znać życie wyryło na niem swem ostrem dłutem dużo prawd głębokich a smutnych, dużo bolesnych doświadczeń — i gorzkich rozczarowań.

Jeżeli zaś czoło świadczyło o bardzo burzliwej przeszłości, o obfitej we wrażenia i wypadki historji człowieka, to oczy stanowiły dowód, że duch jego mimo wszelkich prób się nie złamał. Nie odpowiadały one może malar-

skim warunkom piękności, trochę zbyt małe, zbyt głęboko pod bujnemi nasadzone brwiami, ale była w nich taka jakaś niezwykła potęga, że w najliczniejszym tłumie wzrok ich nie mógł pominąć. Kto na nie rzucił okiem, czuł się przykuty do miejsca potęgą tego spojrzenia, które patrzało z jakiejś nieprzeniknionej głębi, a zdawało się sięgać daleko i przeszywać na wskróś dusze ludzkie. Te oczy wydawały się wszechwidzące i wszechpotężne, zdaje się, że całe życie spokojnej, nieruchomej postaci w nich się skupiło i skrystalizowało

Gdyby nie czoło i oczy, niktby zresztą w Henryku nie odgadł człowieka ponad przeciętną wyrosłego miarę, niktby w nim nawet nie przypuszczał zwykłego literata. Rysy miał grube, nos duży, mięsisty, mocno wystające kości policzkowe; szczękę kościstą pokrywał bujny zarost, wśród którego ginęły zarysy ust. — Postać jego barczysta, wysoka bynajmniej o bezwzględnej przewadze ducha nad materją nie świadczyła.

Człowiek-dusza — i człowiek-zwierzę, nie przeszkadzając sobie wzajemnie, rozwinęły się bujnie obok siebie nie według zasad greckiej z czasów Peryklesa estetyki, nie w zupełnej harmonji i równowadze, ale w całej wielostronności nowożytnej kultury.

Póki kurtyna była podniesioną, wzrok jego nieustannie śledził bieg akcji. Na twarzy jego jednak nie było znać wzruszenia, zdawałoby się, iż ani powodzenie, ani upadek sztuki nie interesują go osobiście. Patrzał z zajęciem, tak jak się patrzy na dramat efektowny, jak się słucha rzeczy ciekawej i do zastanowienia pobudzającej.

W loży siedział sam, jednakże podczas antraktu odwiedzali go liczni znajomi i przedstawiali mu nieznajomych.

Skoro tylko wizyta taka przerwała mu głęboką zadumę, twarz jego natychmiast gasła, stawała się nieruchomą, konwencjonalną — jak konwencjonalnemi były słowa i ukłony, któremi przyjmował składane mu wyrazy uznania, komplementy i panegiryki. Widocznie machinalnie odbywał pańszczyznę, tak przywykły do roli sławnego człowieka, że go nawet już nie męczyła, tak wysoko stojący ponad poziomem zdawkowych frazesów, że się nad niemi zastanawiać nie raczył.

Nie można twierdzić, aby był on jedynym uważnym słuchaczem swej sztuki, ale nie ulega wątpliwości, że był jedynym, który jej wyłączną uwagę poświęcał.

Reszta widzów była zbyt świątecznie nastrojona, zbyt przejęta myślą, że to jest wieczór osobliwszy, do drugich niepodobny — aby mogła zapomnieć o rzeczywistości, a przenieść się całkowicie w świat fikcyjny, który przedstawiała scena.

Wiedziano tylko, że ktoś tam był nieszczęśliwy, że mąż z żoną zgodzić się nie mogli, że jakaś kobieta weszła na złą drogę, jakiś mężczyzna zaczął od pijaństwa, a na żebraninie skończył, że autor radzi im przebaczyć, że to wszystko było bardzo pięknie powiedziane i grane znakomicie, wreszcie że autor siedzi w loży i trzeba go wywołać.

„Prawda? jaka piękna sztuka?“ „Wielki, wielki talent“ — mówiono i kiwano głowami z urzędowym do okoliczności zastosowanym podziwem, potem jednak rozmowa schodziła na temat koleżeńskiego bankietu i różnych sukcesów Henryka, przyczem największy efekt wywoływały cyfry imponujące rzekomych jego autorskich honorarjów, zwiększane dla efektu o jedno lub nawet dwa zera.

Gdy zapadła kurtyna, zerwała się naturalnie burza oklasków, naturalnie wywołano autora i naturalnie podano mu jeden wieniec od artystów, drugi od kolegów, trzeci od jakiejś dobroczynnej instytucji, której swój dochód z pierwszego przedstawienia ofiarował. — Henryk kłaniał się automatycznie, jak człowiek, który ma w tem wprawę, ale tego nie lubi. — Na twarzy jego nie było radosnego uśmiechu, nie ożywiło jej uniesienie tryumfatora. Wydawała się zupełnie zimną, tylko oczy zajaśniały jakimś zagadkowym blaskiem posępnym i łzawym, jak blask gromnicy kościelnej.

Dziwny kontrast stanowiło zachowanie się jubilata z wesołym i świątecznym nastrojem publiczności.

Oni się bawili — on dumał.

Prosto z teatru liczny zastęp obecnych odprowadził Henryka do kasyna miejskiego. Gdy wychodzili na ulicę, jakiś szpakowaty jegomość, w wytartym paltocie mijając go, podał mu rękę na pożegnanie.

Henryk zatrzymał ją w swojej dłoni: „Jakto? a ty nie idziesz, Stefanie?“

„Ja? — ależ ja nie należę do zaproszonych... I z jakiejże racji? Czytałeś? Świat literacko-artystyczny, śmietanka inteligencji — ja nie mam nic z żadną śmietanką wspólnego“.

(C. d. n.). *Moszczeński.*

Wiadomości bibljograficzne.

Ks. Kalinka Walerjan. Galicja i Kraków pod panowaniem austrjackiem. W Krakowie, Spółka wydawnicza polska 1898. Str. 470.

Pietkiewicz Zenon. Szkice społeczne. Warszawa, z Kasy im. Mianowskiego, 1898, w 8ce małej, str 263 i 2 nl 1 rub. 20 kop.

Z drukarni Z. Golloba.